

Janina Łagoda

Wielopartyjność stała się rytem na wizerunku funkcjonowania państwa demokratycznego, ale i zarazem jego ułomnością. To właśnie ugrupowania polityczne w swoich ideowych zamysłach, poprzez desygnowanych przez siebie przedstawicieli kształtują kierunki rozwoju państwa. Usiłują też stwarzać warunki dla realizacji własnych celów m.in. poprzez ustanawianie określonej struktury organów państwa z przypisanymi im zadaniami, które w sprzężeniu zwrotnym, poprzez wysublimowaną obsadę personalną tych instytucji, urzeczywistniają przede wszystkim oczekiwania własne z elektorskim wsparciem.

Jest sprawą oczywistą, że w zamysłach zarówno tych dalekosiężnych, jak i bieżących poszczególnych stronnictw występują intelektualne odmienności, ale w sprawach kluczowych dla państwa i obywateli winna obowiązywać jednomyślność, bo taki też jest m.in. sens łożenia w określonych proporcjach finansowych środków publicznych na rzecz ich działalności. Nie zawsze te oczekiwania są spełniane, a częstokroć nawet trafne decyzje rządzących są złośliwie, w czambuł potępiane przez opozycyjne partie. W obecnym krajowym układzie politycznym, tak skrajnie bezwzględne formy negacji, gdzie w przekorze celowo nie dostrzega się żadnych pozytywnych niuansów, nie stanowią wyjątków. Koszty nieuzasadnionej zawiści wobec rządzących ponosi państwo i społeczeństwo, a więc także aktyw i elektorat owych partii opozycyjnych. Czyż z tego opozycja nie zdaje sobie sprawy? Zapewnie tak, ale traktuje tego rodzaju posunięcia jako narzędzie do pomnażania wskaźników elektorskiego poparcia. Nie zawsze są to trafione decyzje; częściej społecznie szkodliwe.

Partyjność w rządzeniu

Nie sposób oddzielić decyzji rządzących od interesów ich partyjnych. Źródłem takiego stanu rzeczy jest fakt, że droga do sprawowania rządów przez obywateli została skanalizowana w nurty partyjne, co w praktyce oznacza, że indywidualne próby uzyskania władczego mandatu są w zasadzie skazane na porażkę. Wybory do gremiów parlamentarnych, ale i samorządowych również w swej istocie mają charakter partyjnej rywalizacji i w tę wyborczą maszynę siłą rzeczy włączony zostaje elektorat, w pokażnej części na co dzień bezpartyjny, któremu pozostaje tylko wybór między już politycznie naznaczonymi kandydatami różnych formacji politycznych. I w ten oto sposób, przynajmniej na moment ekscerpcji, głosujący zostaje apologetą określonego ugrupowania, które desygnowało daną osobę do zabiegania o określony mandat. I nie chodzi tutaj o sformalizowane członkostwo, ale o chwilowe zauroczenie się programem danej partii. W naszym kraju osoba bezpartyjna wprawdzie może ubiegać się o parlamentarne lub prezydenckie stanowisko, ale są to nader rzadkie przypadki, a jeśli ma to miejsce, to z reguły jego zaplecze stanowi grupa osób o wysublimowanych interesach. Tak czy inaczej partie polityczne mają znaczącą przewagę nad niezrzeszonymi w ubieganiu się o państwowe stanowiska. Partyjne promocje, jak dotąd, okazują się najskuteczniejsze. Czy tak być powinno? Chyba nie, ale wszystko pozostaje w elektorskich umysłach, które najczęściej skłaniają się ku partyjnym, a mniej obywatelsko-wspólnotowym ofertom.

Partyjne rozłogi są wszechogarniające i w równej mierze oplatają organy władzy wykonawczej, tj. urząd prezydenta z jego administracją oraz rządu, ale również aktywnie wnikają w struktury sądownictwa, nie wspominając o parlamencie, gdzie bezpartyjni posłowie stanowią, prawie że

niedostrzegalny odsetek (kilkunastu posłów), ale i oni, po części, są partyjnie zainfekowani, bowiem owa wątpliwa niezależność najczęściej jest rezultatem braku subordynacji wobec wcześniejszego partyjnej przynależności. Tylko niektórzy z nich uzyskali mandat posła startując z list określonych bezpartyjnych komitetów wyborczych i po wyborach zdecydowali się nie wstępować do żadnego klubu parlamentarnego. Bacząc jednak na partyjność rozkładu sił w sejmie, skuteczność ich pracy poselskiej jest nader ograniczona.

Głosy tych posłów zazwyczaj wtapiają się, bądź nie, w poselskie inicjatywy poszczególnych klubów parlamentarnych. W wysokiej izbie niełatwo więc być niezależnym deputowanym, a i perspektywa poszerzenia ich liczebności oraz poprawy efektywności pracy rysuje się mgliście. Na działalność partii politycznych zezwala ustawa zasadnicza (art. 11 Konstytucji RP) pod warunkiem, że będą one pozytywnie wpływały na demokratyzację polityki państwa m.in. poprzez permanentną racjonalizację wyborów parlamentarnych oraz formułowanie skutecznego rządu. I tak się dzieje, bowiem to partie polityczne obsadzają w stosownych proporcjach ławy parlamentarne, a także desygnują kandydatów na prezydenta RP oraz tworzą radę ministrów. Skutkuje to tym, że upartyjnienie organów władzy jest powszechne, a w praktycznym wymiarze powoduje to, że interesy partii częstokroć wygrywają z potrzebami społecznymi.

Upartyjnienie struktur zarządczych naszego państwa, to nie tylko cecha najwyższych organów państwa, ale trapi ono również szczeble pośrednie sięgając do najniższych ogniw administracji państwa i samorządów. Zawłaszczanie instytucji państwa przez partie polityczne to problem ustrojowy w Polsce i najczęściej sprowadza się do obsadzania stanowisk w urzędach, sądownictwie, mediach publicznych, spółkach Skarbu Państwa, samorządach oraz przyporządkowanych im instytucjach administracyjno - gospodarczych etc. Nie byłoby z tym większego problemu, gdyby bezwzględnym kryterium doboru kadr była fachowość pretendentów, a nie partyjne protekcyjne obrachunki. Niestety, to ostatnie kryterium waży, a dla jego wzmocnienia rządzące partie polityczne podejmowały stosowne decyzje. I tak zlikwidowano konkursy w obsadzie stanowisk kierowniczych, co obniżyło neutralność pracowników, a tym samym urzędów, zaś spółki skarbu państwa traktuje się jako polityczne zaplecze finansowe oraz intratne zatrudnienie dla aktywistów partyjnych i ich rodzin, co dodatkowo nepotyzmem trąci etc.

Podobne tendencje obserwuje się w sądownictwie, gdzie polityczne podporządkowanie prokuratury oraz Trybunału Konstytucyjnego i Krajowej Rady Sądownictwa podważyło zasadę trójpodziału władzy. Nadal nie dostrzega się woli ze strony belwederskiej do naprawiania zdewastowanego sądownictwa, a niedawnym przykładem tego jest ustanowienie tzw. neosędziego Pierwszym Prezesem Sądu Najwyższego, zaś nominat bezkrytycznie poddał się tej decyzji.

Także media publiczne są wykorzystywane jako tuby propagandowe partii sprawujących władzę. Trwają wprawdzie próby naprawienia tego stanu rzeczy, ale opór kręgów partyjnych jest ogromny, a co smutne to, to że w tej chwili partie opozycyjne posiadają władczego patrona w osobie prezydenta RP, który stojąc na straży suwerenności i bezpieczeństwa państwa zarazem godzi się na ignorowanie konstytucyjnych zapisów, a obsesją jego stało się utrudnianie pracy rządowi na równi z opozycją, ignorując wolę znamienitej części społeczeństwa, a jego ulubione zawołanie: „Po pierwsze Polska, po pierwsze Polacy”, co miało oznaczać skupianie się na stawianiu interesów obywateli, bezpieczeństwa narodu oraz dobrobytu wszystkich rodaków ponad korporacyjnymi tantiemami. Po rocznym urzędowaniu niewiele pozostało z tego kordialnie brzmiącego hasła. Ten szkodliwy dla kraju paradoks osłabia przede wszystkim autorytet głowy państwa, a w konsekwencji i kraju.

Partyjność w zarządzaniu państwem jest faktem i na długo nim pozostanie, bo jak na razie alternatywy nie sposób dostrzec. Pojawiają się jedynie puste hasła o bezpartyjności w rządzeniu, ale są to tylko utopijne życzenia. Natomiast rzeczywistość jest partyjnością szczerze kraszona, i w tym tyglu ideologicznych sporów trwa proces zarządzania państwem, a to rzecz nader trudna, bowiem sztuką jest, aby wyraziście oddzielać sprawy partyjne od interesów państwa. Jak na razie efekty tego chwalebego życzenia są skromne i najczęściej eksplodują przy kolejnych aferalnych zjawiskach, jak chociażby ostatnio dotyczą warszawskiego Szpitala Południowego i związanych z tym nadzorczych nieprawidłowości ze strony Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy, ale i narastających od lat ułomności całego systemu ochrony zdrowia w Polsce.

Na dobrą sprawę główne partie polityczne w kraju niewiele od siebie się różnią tak w ideowych założeniach, jak i czynach, a wspólną nicią ich łączącą jest pragnienie sprawowania rządów i dostatnie reprezentowanie swoich elektoratów, a drogowskazem ich postępowania jest amplituda elektorskiego uznania. Dlatego też wspieranie czynów wspólnych dla państwa i społeczeństwa jest traktowane wstrzemięźliwie, bowiem w takich sytuacjach najobfitsze plony z reguły zbierałaby partia władzy. Ponadpartyjny kompromis przynajmniej w sprawach strategicznych nadal pozostaje skrywaną wartością. Ta przypadłość wyraziście się uwidacznia przy zmianach rządu, kiedy to partia władzy zaczyna weryfikować dokonania poprzedników, ignorując ciągłość funkcjonowania państwa, zwłaszcza w strategicznych obszarach.

Upolitycznianie państwa

W Rzeczpospolitej mamy do czynienia z ordynarną partyjnością w zarządzaniu państwem i to w znaczącym obszarze. Jest to system, w którym zasadnicze decyzje zarządcze, a także obsada stanowisk w administracji publicznej oraz kierunki polityki państwa są podporządkowane zwycięskiej partii lub partyjnej koalicji, co jest fatalną tendencją. Można wprawdzie dostrzec pewne zalety tego zjawiska, jak przykładowo: łatwiejsze urzeczywistnianie programu wyborczego, spójniejsze podejmowanie decyzji i rozliczanie polityków z obietnic wyborczych, nadzieje obywateli głosujących na określone ugrupowanie, że to ono przejmie stery nad państwem etc. Ale owa partyjność niesie z sobą zagrożenia, jak: obsadzanie stanowisk w urzędach, spółkach Skarbu Państwa i kluczowych instytucjach osobami lojalnymi wobec partii, a mniej niezależnymi ekspertami posiadającymi wymagane kompetencje, zacieranie granic między aparatem partyjnym a państwowym i wykorzystywanie tej sytuacji m.in. do finansowania celów własnej partii, prowadzenie polityki wykluczającej opozycję i osoby obojętne wobec jakiegokolwiek partyjności, co obniża zaufanie do instytucji państwa etc.

Pogłębianiu wskaźnika partyjności w zarządzaniu państwem sprzyja prawem usankcjonowana możliwość równoczesnego bycia posłem, senatorem bądź radnym i zarazem szefem lub członkiem partii, ale także premierem, ministrem, sekretarzem stanu, prokuratorem generalnym lub pełnić inne ważne funkcje państwowe. Powszechnością owej partyjności jest zatem to, że władza ustawodawcza i wykonawcza, ale także sądownicza się zbratały, zaś lepszemu stał się partyjny mianownik. Jest to wielce szkodliwy mezalians osłabiający przejrzystość i jakość sprawowania władzy, bo nie sposób wybrańcowi jednocześnie efektywnie funkcjonować w tak rozczłonkowanym i kolizyjnym obszarze uprawnień oraz odpowiedzialności, a to dotyczy wielu osób. Sprawa jest o tyle niepokojąca, że nie dostrzega się prób budowania skutecznych zapór przed ową polityczną osmozą. A jeśli ten stan rzeczy uzupełni się zachłannym władczym apetytem prezydenta RP, dla którego

konstytucyjne ramy uprawnień i obowiązków są, jak się okazuje niezadowolające, to krok niewielki do chaosu w zarządzaniu państwem.

Procesowi upolityczniania nie oparły się również samorządy wszystkich szczebli. Trwa podporządkowywanie struktur terytorialnych ideom partyjnym, co w praktyce przejawia się obsadzaniem stanowisk w zarządczych gremiach samorządowych województw, miast, powiatów, gmin wedle klucza politycznego, który pozostaje we władaniu centralnych organów partii. Wyraziście to prezentuje przykładowo w poszukiwaniu kandydatów na zwolnione w referendalnych głosowaniach urzędy prezydentów i burmistrzów miast, a także wójtów. W trwającym zamęcie politycznym widoczne są jedynie bezwzględne partyjne pojedynki sterowane przez centrale tych ugrupowań. Trudno dostrzec tam wyrazistą inicjatywę oddolną, poza nielicznymi osobami, które zamierzają z własnej potrzeby rywalizować o urząd bez partyjnego wspomaganie.

Lokalne i partyjne inicjatywy w kształtowaniu się samorządów są wprawdzie naturalnym przejawem demokracji, ale górę w tym obszarze winny brać samorządne zamysły, te bliskie społeczności lokalnej. Partyjność rodzi niebezpieczeństwa m.in. w mnożących się przypadkach obsadzania stanowisk w urzędach, spółkach komunalnych i innych zależnych placówkach na podstawie legitymacji partyjnej, a nie wiedzy i umiejętności, a także uzależnianie dotacji finansowych dla samorządów od sympatii politycznych, przenoszenie sporów wielkiej ogólnokrajowej polityki na poziom lokalny kosztem miejscowych merytorycznych dyskusji o problemach mieszkańców. Z drugiej strony nie sposób wymagać od samorządów całkowitej obojętności wobec zdarzeń politycznych, bo jest to w praktyce niemożliwe, ale już ich literalne przekładanie na idee posłannictwa samorządów winno spotykać się ze zdecydowaną dezaprobatą wyborców. Trudna to praktyka, ale możliwa do spełnienia.

Obrazoburcze są relacje z obrad wielu samorządów, kiedy to radni w plenarnych dyskusjach nad rozwiązywaniem określonych istotnych dla lokalnej społeczności problemów, szermują argumentami partii politycznych, do których przynależą, topiąc merytorykę w partyjnych ideologicznych ostępach. Jest to kwadratura koła, dla rozwiązania której dotąd nie znaleziono adekwatnego wzorca. Aktualnym przykładem tego może być targowisko wokół wyboru prezydenta Krakowa, bowiem dotąd urzędujący został odwołany w referendalnym trybie. Rozpętała się polityczna wichura i otworzył się wór z kandydatami, głównie o politycznych proveniencjach. Ich prezentowanie przybiera niekiedy zadziwiające, nieco komiczne formy, jak m.in. prezentowanie jednej z kandydatek w ogrodach Rady Ministrów w Warszawie przez premiera rządu i zarazem prezesa partii rządzącej. Chciałoby się powiedzieć, gdzie Warszawa, gdzie Kraków, parafrazując znany frazeologizm. Widać tutaj, jak nadto jest to partyjny kandydat, a są już też kandydaci innych ugrupowań, co wskazuje na silne zespolenie lokalnych samorządów z partiami politycznymi. Nie jest to chyba dobry trend, bowiem polityczne obciążenie zapewne będzie ważyć na rozwiązywaniu problemów lokalnej społeczności, zwłaszcza tej politycznie obojętnej.

Do życzliwości partii politycznych wobec państwa winien skłaniać je również fakt częściowego ich finansowania ze środków budżetu państwa, a więc z pieniędzy publicznych. Ten merkantylny argument obok strzelistych zapisów o umiłowaniu ojczyzny przez partie, co znaleźć można w statutach każdej z nich, winny być wystarczającym gwarantem tego, że w sprawach ważnych dla kraju spontaniczna jedność stanie się zasadą ich funkcjonowania, tak w odniesieniu do spraw wewnętrznych, jak dyplomatycznych. Nieczęste są to przypadki. Dominuje bezwzględna zapiekłość w obronie partyjnych postulatów, w których nie ma miejsca na tolerancję, na odrobinę kompromisu. Dzisiaj obraz współdziałania rządu i opozycji, a także

prezydenta jest taki, że co rząd postanowi spotyka się z dokumentnym odporem opozycji i prezydenckiego urzędu, nawet w sprawach oczywistych, ważnych dla obywateli i państwa. Wystarczy spojrzeć na wyniki parlamentarnych głosowań nad uchwalanymi ustawami, a także posłuchać mentorskich wypowiedzi, wygłaszanych m.in. z tribuny sejmowej przez belwederskich pracowników, lubujących się, podobnie jak ich szef, w nieskromnym pouczeniu rządu i oceniania jakości jego pracy, zapominając że wypełniają równorzędną z rządem funkcję władzy wykonawczej, zaś kompetentny osąd rządu to gestia parlamentu, i oczywiście społeczeństwa.

□ □ □

Postępujący proces upolityczniania państwa, to produkt uboczny trwającej permanentnie kampanii wyborczej, tak partii pozostających w opozycji, jak i ugrupowań aktualnie rządzących. Pierwsze czynią wszystko, aby pomnożyć własny kapitał wyborczy w możliwie maksymalnym arytmetycznym wymiarze umożliwiającym przejęcie władzy. Ostatnio jedna z nich nawet już wyznaczyła kandydata na przyszłego premiera, mimo że do wyborów jeszcze z górą rok, a on uwierzył w swoje partyjne sloganowe posłannictwo. Drugie zaś władczymi decyzjami starają się trzymać rządowe stery w możliwie długim czasie, dbając także o poszerzanie kręgów wyborców. Jedni i drudzy są zatopieni w analizach sondaży poparcia. I to głównie pod dyktando tych wskaźników podejmują partyjne i zarządcze decyzje, które częstokroć mijają się z interesami państwa, ale pozostają w zgodzie z duchem partii. Ułomnością naszej polityki wewnętrznej jest to, że nie potrafimy oddzielić obszarów partyjnych od spraw państwa. W upartyjnianiu struktur państwa, niestety odnosimy sukcesy. Ale demokracja nie polega przecież na zastąpieniu niedawnej monopartyjności modelem wielopartyjnym. Jest to wprawdzie postęp, ale partyjne ideologie winny pozostawać w sterylnej odległości od struktur władzy, której priorytetem jest dbałość o interesy państwa i ogółu społeczeństwa bez politycznych zróżnicowań, co niestety przydarza się ugrupowaniom politycznym w trakcie sprawowania rządów. Partyjne pojedynki spowodowały, że polityka zagraniczna państwa stała się zakładnikiem wewnętrznych frakcyjnych pojedynków, a na domiar złego przybrała postać dwutorowej: prezydenckiej i rządowej, co w kręgach dyplomatycznych wyzwała niemałe problemy w interpretowaniu polskiej racji stanu.

Janina Łagoda